

Prades był wściekły, że w ten sposób zakończył się ich stosunki i po wyjściu R vera wiódł życie jeszcze bardziej lekkomyślne i awanturnicze. Reporter Rodier nie mylił się wcale, opowiadając nieprawdopodobne historie w tym kierunku. Czas mijał, a pieniądze, pozostawione przez Rovera, stopniały w nerwowych rękach Pradesa z przerażającą szybkością. Przyszła w końcu chwila, kiedy pozostał bez żadnych środków do życia, spóbowawszy szczęścia w różnych ekscentrycznych zajęciach i przedsiębiorstwach. Przekonał się w tym czasie, że najlepszą kopalnią złota będzie dla niego kasa byłego konsula i postanowił jak najprędzej udać się do niego.

Wyruszył więc do Francji. Wiedział, że „szwagier“, bo tak nazywał Rovera, mieszkał w Paryżu, z łatwością więc mógł go odnaleźć. Karol Prades był człowiekiem bez żadnych skrupułów i etyki. Ile razy wspominał swojego złotodajnego „szwagra“, brzydki uśmiech pojawiał się na jego twarzy. Bo w końcu — rozumował — czemuż jest ten mój „szwagier“ niedoszły? Człowiekiem, goniącym za wrażeniami, a Carlotta była tak ładna! Powinien teraz czuć wdzięczność dogonną dla jej brata.

Kiedy Prades stanął w Paryżu, wynalazł sobie mały pokój w nędznym, podejrzanym hoteliku, gdyż fundusze nie pozwalały mu na wytworniejsze mieszkanie i zaraz udał się za poszukiwaniem adresu R vera.

Widok Pradesa sprawił na Roverze niemiłe wrażenie i wywołał gniew.

Kiedy Prades po raz pierwszy zapytał w domu przy bulwarze Clichy o byłego konsula, pani Moniche, do której się zwrócił po informacje, spojrzała zdziwiona na egzotyczną jego postać, ale pozwoliła mu bez przeszkody udź się na górę. I kto wie, może podejrzenie pani Moniche byłoby padło na tego nieznanego, gdyby nie była widziała Jerzego Montina, stojącego przed kasą otwartą pana R vera.

Zresztą Prades trzykrotnie tylko pojawił się w mieszkaniu R vera, a w dzień zbrodni wślizgnął się niepostrzeżenie do kamienicy, upatrzywszy chwilę, w której pani Moniche zajęta była czyszczeniem schodów na górnych piętrach, a pan Moniche wyszedł na szklankę wina naprzeciw.

Zadzwoił śmiało do mieszkania i Rovere, osłabiony i chory, wlokąc nogami z trudem, przyszedł mu drzwi otworzyć. Na widok Pradesa cofnął się i rzekł niechętnie:

— Siedziałem, że już wyjechałeś z Paryża po ostatniej naszej rozmowie. Czego chcesz? Nie mam ci nic więcej do powiedzenia ponad to, co ci już mówiłem.

Wiedząc, że Prades znowu męczyć go zacznie zachwałami swoimi wymaganiami, tak jak to zawsze czynił, Rovere, zdenerwowany i niezadowolony, chciał drzwi zamknąć mu przed nosem, ale Prades popchnął je silnie i wszedł, mówiąc błagalnym i równocześnie ironicznym głosem:

— Pomówimy po raz ostatni! Przysięgam panu, że mnie więcej nie ujrzyś u siebie. Ale wysłuchać mnie pan musi. Wyjadę dziś jeszcze.

Wówczas Rovere pozwolił mu wejść do salonu i pomimo wielkiego osłabienia i braku siły, chciał już raz na zawsze zakończyć z tym człowiekiem, napastującym go tak zachwałami i upornie.

— Muszę się go pozbyć w ten sposób — pomyślał Rovere — aby mu odebrać na zawsze ochotę do powrotu.

— Czy nie pozwolisz mi umrzeć w spokoju? — rzekł z wyrzutem do młodego człowieka. — Człowiek żądać jeszcze odemnie? Uczyniłem dla ciebie więcej, niż było moim obowiązkiem. Nie masz prawa wymagać nic więcej odemnie.

Prades usiadł swobodnie na fotelu i położył duży swój amerykański kapelusz na kolanach. Nie czuł się zupełnie zmieszany słowami R vera, przeciwnie, głos jego brzmiał zachwałami i wyzywająco, kiedy odezwał się, uśmiechając się przytem ironicznie:

— Kochany panie Rovere! O co to się gniewać? Przychodzę do pana po raz ostatni, z prośbą o wyrażenie mnie z sytuacji, w której się znajduję. Przekonałem się, że z dwojga złego lepszą już dla mnie jest Ameryka. A czy żechcę tam powrócić, czy tu stworzyć sobie egzystencję, potrzeba mi do tego pieniędzy. Przecież pan powinien to zrozumieć!

— Dawałem ich już dosyć — odparł zimno Rovere. — Mam już tego dosyć. Zaudziły mnie ciągle bezwstydne wymagania pana.

— Czy to pan mówi naprawdę? — zapytał Prades ze złym uśmiechem. — Siedziałem, że powinien pan mieć więcej względów dla człowieka, z którym łączą pana pewne wspomnienia... Pan zapomina, że jestem bratem Carlotty?

— Ani słowa o niej — przerwał ostro Rovere. — Zabraniam panu mieszać jej imię do tych niecznych targów!

— Cenię to uczucie pana — wyrzekł ironicznie Prades — ale przyznać pan musi, że długi czas radziłem sobie, jak mogłem, aby pana pozostawić w spokoju. Ale, mój kochany panie Rovere, czy nie wie pan, że wilk wychodzi ze swojej nory, kiedy głód mu dokuczy? Nie mam pieniędzy i dlatego przychodzę!

Rovere czuł się tak bezwładnym w tej chwili i tak słabym, że byłby dał cały swój majątek, aby się pozbyć natręta i wypocząć, ale jakiś instynkt samozachowawczy i błysk energii kazał mu walczyć przeciw bezwstydnyim wymaganiom Pradesa. Ułożył się wysiłkiem woli z kanapy i oczy jego rozgorzały stłumionym gniewem.

— Nie otrzyma pan nic już więcej odemnie — wyrzekł stanowczym głosem. — Dosyć już. Żądania pana są śmieszne! To jest ostatnie moje słowo. Nie dam nic więcej!

— Jest pan niewdzięcznym człowiekiem, panie Rovere — odparł Prades. — Zapomina pan o zobowiązaniach przeszłości! Carlotta i mój ojciec, umierając, polecieli mi na opiekę pana. Jakże prędko pan o tem zapomniał!

— Zabroniłem panu wywoływać te wspomnienia — zawołał gniewnie Rovere. — Słowa pana są obelgą dla tej niewinnej istoty, która mi o tyle drogą była, o ile pan wstrętnym! Znosiłem już wiele przez pamięć dla niej, ale teraz cierpliwość moja wyczerpała się już!

— Wspomnienie to jednak — odparł cynicznie Prades — dla pana przykre, dla mnie stało się cennym spadkiem! Mój kochany szwagierze i konsulu, zachciej pamiętać o tem, że wkłada ono na ciebie ważne obowiązki. Nie odejdę stąd, póki nie uczynisz zadość mojemu żądaniu.

Rovere był tak zdenerwowany, że chciał zadzwonić, wołać, aby natręta wyrzucano za drzwi. Ale nagle myśl wstrzymała go od tego zamiaru. Cóżby pomyśleć mogła pani Moniche i jej mąż? Potwory by się domysły, gorsze jeszcze od prawdy! I ten człowiek energiczny i nieznanający lęku, drżał teraz, osłabiony chorobą, przed możliwym skandalem! Po krótkim namyśle powstał z fotelu i tłumacząc się nagle osłabieniem, chciał sam poprowadzić Pradesa do drzwi i zmusić go do wyjścia. Lecz młody człowiek za pierwszym dotknięciem ręki Rovera skoczył w bok, dziko błyskając oczami, gotów do walki i oporu.

I rozpoczęła się rzeczywiście cicha i straszna walka pomiędzy tymi dwoma ludźmi. Rovere, lecząc jeszcze na dawne swoje siły, pochwycił napastnika za kołnierzy ubrania, lecz tenże pochwycił szybko jego rękę, szukając równocześnie broni, ukrytej w kieszeni. Był to ten sam długi i wązki nóż, znaleziony przez Bernardeta w czasie badania. Chwila była tragiczna.

Prades brutalnie odepchnął od siebie Rovera, który, chwiejąc się, potykając o meble, tracił już przytomność umysłu. Przekonawszy się, że przeciwnik nie może być dla niego niebezpieczny, Prades odstał parę kroków w tył i nagle rzucił się naprzód, pochwycił nieszczęśliwego Rovera za ramię i potrząsając nad nim nożem, wołał ochryplym od wściekłości głosem:

— Nie unikniesz już mojej ręki! Sam tego chciałeś! — W tej to chwili Rovere, broniąc się rozpaczliwie, drżącymi rękami uchwycił się szyi Pradesa, krwawiąc ją głębokimi śladami paznokci.

W rozszalałych oczach Pradesa, paliła się tylko teraz myśl jedna: „Zabić, zabić go!“ Przyszedł prosić, żądać, grozić nawet, ale teraz zabić go musi, by zadowolnić zachwałę swoje pragnienie i chęć zemsty. Wszystkie najgorsze instynkta wobec odmowy Rovera rozszalały się w nim w jednej chwili. Nie był to już człowiek, rozumujący na zimno, ale rozbestwione i podrażnione zwierzę, gotowe na wszystko! Zapomniał, gdzie się znajduje. Nie słyszał głosów ani turkotów, dobiegających z ulicy, nie zdawał sobie sprawy, że krzyk ofiary wydać go może! Cała siła i energia jego życia skoncentrowała się w tej oslepiającej go wściekłości i nagle ręka jego, uzbrojona w broni śmiertelną, opadła ciężko na szyję Rovera... Krew bryzgnęła strumieniem, Rovere zachwiał się, przerażone spojrzenie utkwił w mordercy i upadł na ziemię...

Na twarzy trupio bladej nie widniała już żadna oznaka życia, tylko oczy, przerażeniem rozszerzone, gorzały niezwykłym światłem. W tej chwili oczy te, przejęte grozą śmiertelną, szukały rozpaczliwie jakiegoś punktu oparcia, ratunku, wołały o ten ratunek nadludzki wysiłkiem, podczas, gdy z szyi, gdzie czerniała się szeroka, otwarta rana, krew strugami spływała na dywan.

I nagle Prades ujrzał, jak Rovere ostatnim wysiłkiem woli i siły powstał z ziemi i chwiejąc się jak człowiek pijany, przyczołgał się do kominka, na któ-

rym wsparł się całym ciężarem ciała. Konwulsyjnie wykrzywione jego palce pochwyciły przedmiot, na który morderca przedtem nie zwrócił uwagi i błędne spojrzenie w niego utkwił, podziś kiedy usta usiłowały wymówić jakieś niezrozumiałe wyrazy. Dławił jakieś błagalne, rozpaczne, wydobywały się z krwawiącej krtani, z której życie uciekało z każdą sekundą.

Przedmiotem, w którym utkwiły gorące, błagające spojrzenia umierającego, był portret mężczyzny... Do niego to odnosiła się ostatnia prośba, ostatnie słowa skargi i oskarżenia.

Prades ze zdumieniem i przestachem śledził ruchy swojej ofiary. Ujrzał, iż rama portretu wysadzana była drogocennymi kamieniami i perłami. Przekonał się później dopiero, że były to ciekawe okazy minerałów, które zapewne Rovere przwiozł ze swoich podróży. W spojrzeniu Rovera Prades dojrzał teraz jakiś rozkaz z szeptańch bezładnie słów, zrozumiał, że przekazywał człowiekowi z portretu jakieś zlecenie ważne do spełnienia. Cała energia żywotna nieszczęśliwego i nieziemską już siłą duszy przebiegała się w oczach, rozjaśnionych teraz blaskiem głębokim.

I zdawało się Pradesowi nagle, że pomiędzy nim a ofiarą jego stanął niespodziewanie świadek jakiś. Uczucie to i chciwość, wywołana widokiem drogocennej rami, popchnęła go raz jeszcze w kierunku Rovera. Brutalnym ruchem chciał wyrwać portret z rąk jego, ale siła jakaś nadzwyczajna, przed którą na chwilę cofnął się morderca, powróciła umierającemu. Ręce jego, już sztywniejące w ostatnim skurczu śmierci, zacieśniły się rozpaczliwie wokół ram, płomienne spojrzenia, jak parząca błyskawica, nie schodziły z twarzy mężczyzny, przedstawionego na portrecie... Po chwili Rovere drgnął całym ciałem i bezwładnie osunął się na podłogę... Prades, niespokojny i niepewny, zbliżył się wówczas do niego i sięgnął raz jeszcze po portret. Z wielką trudnością mógł go wydobyć z martwych, sztywniejących coraz więcej palców... Przekonał się wówczas, że Rovere już nie żył i westchnienie ulgi wyrwało się z jego piersi. Urwany, porwał portret. Rama wydała mu się nadzwyczajnej wartości. Ołtarz kamienie rzucały blask ośniewający. Rozerwał się następnie po pokoju i zabrał kilka cenniejszych przedmiotów, kierując się następnie do pokoju, w którym stała kasa. Ale na progu zatrzymał go szmer jakiś, dochodzący od schodów. Ktoś nadchodził! Prades zdrewniał z przerażenia... Ktoś nadchodził, a kogośkolwiek to był, przynosił z sobą niebezpieczeństwo... Świadek ten niespodziewany odkryje jego morderstwo i wówczas zostanie bezzwłocznie ujęty! Prades znalazł się w przykrem położeniu. Nie wiedział, co wybrać, czy ucieczkę, czy też ukrycie się tymczasowo w mieszkaniu, skąd niebawem w tej chwili oddać mu się chciało. Przecież nie po to tu przyszedł, aby odejść z próżnymi rękami! Nie miał czasu do stracenia na wahanie. Ukrył się szybko za drzwi salonu i w chwili, kiedy pani Moniche wchodziła i była tyłem do niego zwrócona, prześlizgnął się ostrożnie do przedpokoju. Tutaj zorwentował się, że ukrywać się dalej byłoby wielkim niebezpieczeństwem. Ujął więc cięt o za klamkę i otworzył drzwi, prowadzące na schody. Równocześnie rozległ się okrzyk przerażenia pani Moniche. Odkryła zwłoki pana Rovera, leżące na dywanie i zanim odzyskała przytomność umysłu i zbiegła na dół, wołając o ratunek, Prades był już daleko!... Słokoijnym, powolnym krokiem wniósł się w tłum przechodniów, zalegających bulwary, przystając niekiedy przed wystawami sklepów i odczytując uważnie afisze.

XVI.

Szczegółów tych wszystkich dowiedział się pan Ginory od samego mordercy, przy powtórnym badaniu. Z początku wypierał się, bronił, wahał z odpowiedziami, w końcu, nie mogąc już oprzeć się zrezygnującemu naleganiom sędziego, z gorączkowym wybuchem wypowiedział całą prawdę. Pan Ginory był dumny z odniesionego zwycięstwa, musiał bowiem użyć wielu sposobów i sztuczek, aby mordercę pokonać i doprowadzić do zupełnego wyznania.

— Głupio się urządziłem — mruknął Prades po odbytej spowiedzi. — Po co zachowałem ten portret? Przez niego zostałem wykryty. Myślałem, że rami posiadają znaczną wartość, a tymczasem sprzedałem je za pięć franków!

— Gdzie ta rama została sprzedana? — zapytał sędzia.

— Na bulwarze św. Michała, u kupca Donnier.